

NAUKA I ROZRYWKA

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego.“ Wychodzi co 2 tygodnie.

Nr. 13.

Bydgoszcz, niedziela 20 czerwca 1909.

Rok II.

POD TORUNIEM.

(„Z DZIEJÓW PUŁKU“.)

(Ciąg dalszy.)

Dnia 15 maja, wczesnym ranem, pod Toruniem ukazał się nieprzyjaciel. Jazda rozsypała się po błoniach. Zwarte, głębokie kolumny piechoty wysunęły się z lasu, zmierzając ku miastu trzema drogami. Czoło kolumn szło wprost na szaniec przedmostowy, wówczas gdy dwie inne kolumny, wysunawszy się naprzód, zachodziły półkolem od prawej i lewej strony, po nad Wisłą, w zamiarze widocznym odcięcia znajdujących się w szańcu żołnierzy od mostu i miasta. Każdy z piechurów niósł przed sobą pęk chróstu, w celu zarzucenia nim fosy przy bateriach oraz zaslonienia się od strzału.

Runęły pierwsze dwa strzały w ciszę po ranku. To działa na szańcu przedmostowym dały wiedzieć o swych obrońcach.

Kolumny austriackie, bez strzału, posuwały się naprzód.

Na odgłos pierwszych wystrzałów pozostający w Toruniu żołnierze rzucili się do baterii. Do jednej z nich, t. zw. „przy piekarni“, wpadł pierwszy furyer Turski, chłopiec liczący lat 17. Widząc, że ogniomistrzów jeszcze nie ma w baterii, bez namysłu przypadł do działa. Skierował je przeciw kolumnie, która po tamtej stronie Wisły zachodziła most od prawej strony, mając na czele dowódcę oraz przewodnika, w odzieży rybackiej, który wskazywał drogę. Huknął pierwszy z Torunia wystrzał. Gdy dym się rozwiał, Turski błyszcącymi od radości oczyma ujrzął dwie postacie, leżące bez ruchu na błoni, dowódcy i przewodnika. Wówczas poskoczył ku drugiemu działu, celując w sam środek kolumny, która zatrzymała się, nie wiedząc, którą postać śród moczarów. Drugi strzał okazał się również celny. Kolumna rozproszyła się i jęła cofać się za błota.

Z tej strony zabłysło zwycięstwo, lecz z drugiej nadażała klęska. Druga skrzydłowa kolumna austriacka zbliżała się bez przeszkody od strony lewej do szańca. Tu z kompanią fizylierów stał porucznik Kmita, który, na widok przeważającego nieprzyjaciela, niemal bez wystrzału baterię opuszcza.

Na nic się nie zdała waleczność niezachwiana pozostałych kompanii, które, z ba-

gnetem w rękę, odparła od czoła szanca atak kolumn austriackich. Gdy bowiem, po haniebnem ustąpieniu porucznika Kmita, skrzydłowa kolumna austriacka wpadła do opuszczonej baterii i zaszła od strony mostu, garstka męnych obrońców szanca została odcięta od miasta. Pozostawała smutna alternatywa: złożyć broń — albo przebić się do mostu po przez zwartą masę nieprzyjaciela.

Sytuację ocala nieustraszony kapitan Szembek. Bez chwili namysłu, na czele kompanii grenadyerskiej, złożonej z Francuzów, z bagnetem w rękę uderza na kolumnę nieprzyjacielską, grożącą od tyłu, wrzyna się ostrym klinem w jej środek, rozszczepia ją na dwoje i otwiera drogę do mostu. Most ów, zwany polskim, jest przygotowany do spalania: słupy są okręcone wiechciami słomy, deski i pomost obłany smołą. Lecz w ślad za rejterującymi kompaniami polskimi pchają się, z najeżonym bagnetem, szeregi Kroatów i Wołochów, gotowe wraz z obrońcami wpaść do miasta.

Szembek zatrzymuje swych grenadyerów. Przepuszcza przez most kompanie rejterujące, sam zaś, pragnąc zyskać na czasie, ponownie rzuca się na nieprzyjaciela, i, zdumionego tem nowem zuchwałstwem, odrzuca w tył od mostu. Zyskawszy kilka chwil czasu, zdąża w tym krótkim momencie zerwać kilka dylów z mostu i w ten sposób utrudnić przezeń przejście.

Mimo czynów tak chwalebnych, sytuacja Torunia, po utraceniu szańca przedmostowego, jest prawie rozpaczna. Most nieprzyjaciel jest w możności łatwo naprawić, kolumny mogą lada chwila ponownie atak, przebyć most i opanować szaniec na kępie, zkad już jeden krok tylko do zdobycia miasta.

Widzi niebezpieczeństwo generał Woyczyński i cały ratunek pokłada na niewyprowadzonym jeszcze do boju batalionie pułku 12.

— Dajcie mi oficera, na którego roztropności mógłbym polegać zupełnie! — zwraca się do szefa batalionu, Rutkowskiego.

Ten przywołuje porucznika Białkowskiego.

— Możesz, generale, zaufać mu bez obawy.

Generał przenikliwym spojrzeniem mierzy od stóp do głowy młodego oficera, który wyciągnął się, jak struna, przed komendantem.

— Bierz waćpan dwie najlepsze kompanie, dotrzyj z niemi na drugi koniec mostu, wspomóż Szembeka i zapal most w oczach nieprzy-

jaciela. Jeśli tego nie dopełnisz, wiesz, co cię czeka — dodał tonem surowym.

— Wiem, jenerale, kula w łeb — odpalił, nie zmieszawszy się zgola, porucznik.

Woczyński uśmiechnął się niedostrzeżenie pod siwym wąsem.

— Kiedyś taki rezolut, to ci ufam — przemówił łagodniej. Ruszaj że wnet, a poczynaj sobie roztropnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bem w Węgrzech. 1848 r.³

Rok 1848 jest rokiem rewolucyi w Europie. Nie było niemal państwa, w któremby nie wynikły rozruchy. Wszędzie prawie wojsko regularne w krótkim czasie zwyciężało ludność nieprawą do oręża. Mimo to, insurekcye nie pozostały bez rezultatu. Wydały złoty owoc; konstytucyę.

Austria, ta „wieża Babel narodów“, — jak szlachta polska ją w siedemnastym wieku już zwała — doczekała się kilku rewolucyi. Burzyli się Polacy w Galicyi, wstał Wiedeń przeciw monarsze, podnieśli Węgrzy broń, żeby niepodległość wywalczyć...

Rewolucyjnym ruchem we Wiedniu rozporządzał Bem.

W dniu 12 października 1848 przybył Bem do austriackiej stolicy i walczącym ofiarował swoje usługi. W tymże dniu pojawiły się na narożnikach ulic ogłoszenia, oznajmiające, że on obejmie kierunek działań strategicznych... Wódz rozpoczął niezwłocznie poważne przygotowania do obrony. Całem sercem oddany sprawie, odmawiał sobie odpoczynku po trudach. Sypiał trzy godziny na dobę. Przez usilne zabiegi w krótkim czasie postawił Wiedeń na stopie wojennej.

Siebie otoczył Bem oddziałem polskich ułanów. Wiedeńczycy pokładali w wodzu wielkie nadzieje, lecz on wkrótce ufność stracił. Zamiast obiecanych 200 000 zbrojnych, pojawiło się li 4000 ludzi miękkich, niesposobnych do krwawej rozprawy. Konna gwardya wręcz oświadczyła, że za obręb murów nie wyruszy. Wypadło więc ograniczyć się na strzeżeniu bram i okopów.

25 października urządził Bem wycieczkę przeciw wojskom państwowym. Gdy pierwszy strzał armatni padł, przerażeni Wiedeńczycy uszli z pobojowiska. Poznawszy, że z tchórzli wymi nie można oprzeć się szturmom, które Windischgraetz do miasta przypuszcza, Bem zrezygnował z dowództwa. Przebrany za woznicę, opuścił Wiedeń. Postanowił iść do Węgier, usiłując skruszyć jarzmo niewoli.

Bem lubił drwić sobie z niebezpieczeństw. W czasie starcia pod Wiedniem narażał się tak bardzo, że kula armatnia konia pod nim zabiła. Po rzuceniu miasta, jako rzekomy stangret wioząc podróżnych, zajrzał do obozu armii rządowej. Lecz nikt go nie poznał.

Spieszył więc na nowe pole działań. Zetknął się wkrótce z powstańczym oddziałem węgierskim. Hr. Andrassy dowiedziawszy się o przybyciu wojownika, z odkrytą głową szedł mu naprzeciw.

Kosztut, organizator powstania, poruczył Bemowi odzyskanie Siedmiogrodu. Było to zadanie trudne. Narodowe wojsko składało się z trzynastu tysięcy żołnierzy, świeżo do szeregu powołanych, źle uzbrojonych i przygnębionych przez nieustanne dotąd porażki. Armia wiała, parta przez trzydzieści tysięcy Austriaków, szarpana przez oddziały wrogich Wołochów, ledwie trzymała się na siedmiogrodzkich krańcach. W tem, pojawił się Bem. Odbył zaraz przegląd armii, witając ją znamieną przemową: Rząd mianował mnie wodzem. Żądam więc karności. Nieposłusznych każę rozstrzelać!

Słowa wywarły wrażenie.

General był także dla siebie surowy. Odmawiał sobie wygod. Wysoką pensyę swoją otrzymywaną z Pesztu, rozdzielał między żołnierzy. Słabowity na pozór, posiadał organizm pełen hartu. Mimo otwartych ran w nodze, uczestniczył w każdej utarczce. Nie mogąc dla bólu w ranach konia dosiąść, w czasie marszu jechał w powozie. Armię za rodzinę swoją uważał. Prowadził żołnierzy do ataku z okrzykiem: „Naprzód dzieci!“

Z zapalem wykonywano rozkazy.

W połowie grudnia 1848 roku objął Bem naczelnictwo. Już 19 grudnia zostały dwie austriackie brygady w puch rozbite. Zwycięstwo szło po zwycięstwie. Sławne są czyny Bema pod Czybo, pod Dejżem, pod Betten, pod Bystrzycą, pod Nachodem. Austriacy broń rzuciwszy, uciekli w lasy. Resztki niedobitków zwycięzca z murów Tyhucy i pod Galfalwą rozgramiał. Pokazał się w Klauzenburgu i wziął w posiadanie nagromadzone przez nieprzyjaciół zapasy.

W bitwie pod Saswaros (w lutym 1849) został Bem raniony w rękę.

Austriakom w pomoc pośpieszyli Rosyanie. Bem wypędził przybyszów z Sybina. Zajął wkrótce Braszów i zmusił Austriaków i Rosyan szukać schronienia na Wołoszczyźnie.

Opanował cały Siedmiogród. Spełnił zadanie, które Kosztut mu stawił. Radość bez granic opanowała serce Węgrów. Rząd narodowy wysłał deputacyę do Bema. Wysłannicy wieźli mu order ozdobiony dyamentem, wyjętym z korony św. Szczepana. Próżne miejsce w koronie, Węgrzy postanowili zastąpić wyrytem nazwiskiem Bema na znak, że maż ten jest najdroższem królestwa klejnotem. Akt wręczenia orderu odbył się w Sybinie wśród wzniosłych uroczystości kościelnych.

Na żądanie rządu ruszył Bem do Banatu. Tu pobił znów dwa razy Austriaków. Rozgromionych do odwrotu zniewoliwszy, podążył na Multany, żeby Rosyanom zniszczyć zapasy. Wyprawa odniosła zamierzony skutek. Gdy general Bem ze swoją armią zwyciężał, walczył Goergey na czele drugiej armii węgierskiej niepomyślnie. Wkońcu poddał się

w sposób niegodny. Za chwilą tą zagasła nadzieja szczęścia dla Węgrów. Zaczęły się dezertrycje. Rosyanie i Austriacy tłumili pożar powstania. Spostrzegł generał Bem, że wrogiom nie wydoła, gdy sami Węgrzy tracą ufność zupełnie. Jako ostatni z wodzów opuścił Węgry, nie chcąc oręża złożyć u stóp Rosyan.

Schronił się do Turcyi. W ślad za nim szli polscy i węgierscy wygnańcy. Rosya żądała wydania wychodźców. Przecież sultan odpowiedział, że szukających ocalenia będzie bronił jako swych gości. Car zagroził wojną. Lecz za Turcyą ujęła się Anglia i Francya. Do wojny więc nie przyszło.

W roku 1850 umarł Bem, zapewniwszy sobie pamięć niezgasłą w sercu Węgrów i Polaków. Siedmiogród, który widział najświetniejsze czyny generała, pełen wdzięczności uczcił go po śmierci. W miasteczku Maros Vasahety wzniesiono pomnik. Dzieło wyobraża Bema, który oparty o armatę, dzierżąc oręż w prawej dłoni patrzy groźnym wzrokiem w stronę Rosyi. Pomnik stawiony w Maros Vasahety w 1880 roku oznacza nietylko poszanowanie dla bohatera, lecz stanowi także świadectwo ścisłej przyjaźni węgiersko-polskiej.

Umieją cenić Węgrzy węzeł, który kojarzy dwa przedzielone Tatrami narody. Dowodem są delegacye wysyłane do Lwowa co rok dla uczestnictwa w obchodzie ku pamięci konstytucyi 3 maja. I w bieżącym roku, Lwów w czasie uroczystości przyjmował reprezentantów z Węgier.

Adam Korecki

Ach, ci pasażerowie!

— Teraz już dosyć, nie będę pił więcej! Za żadną cenę w świecie. Czas nareszcie, abym przyszedł do rozumu. Muszę pracować. Skoro z taką przyjemnością otrzymujesz nagrody, to pracuj także uczciwie i sumiennie, bez chwili wytchnienia i spokoju. Daj nareszcie pokój tym głupstwom... Przyzwyczaiłeś się, bratku, do brania nagród za darmo, musisz się teraz od tego odzwyczaić... To nieładnie, naprawdę nieładnie...

Starszy konduktor Podtiaginagadał sobie samemu takich i tym podobnych moralów i nagle odczuł niepokonaną chęć do pracy. Była już druga w nocy, ale nie uważał na to, zbudził wszystkich konduktorów i zaczął z nimi przechodzić od wagonu do wagonu, kontrolując bilety jazdy.

— Proszę o bilet! — wołał kłapiąc wesoło szczypcami.

Zaspane postacie zaczęły się ruszać w mroku, przecierać oczy i podawać bilety.

— Proszę o bilet — zwraca się Podtiagin do jednego z podróżnych w drugiej klasie, jakiegoś jegomościa, leżącego w futrze i płaszczu na kanapie. — Proszę wasz bilet.

Chudy pan nie odpowiada, śpi; starszy konduktor pociąga go za rękaw i powtarza znieczierpliwiony:

— Proszę wasz bilet.

Pasażer drgnął, otworzył oczy i spojrzał z przerażeniem na Podtiagina.

— Co... jak...

— Mówię przecież do was po ludzku: proszę o wasz bilet!

— Boże! — jęknął chudy jegomość i zrobił płacziwą minę. — Boże! Cierpię na podagrę... Trzy noce już nie spałem, umyślnie zażyłem morfiny, aby zasnąć i teraz ten człowiek przychodzi mi ze swoim biletem. To niemiłosiernie, to nie po ludzku! Gdybyście wiedzieli, jak mi trudno jest zasnąć, nie budzilibyście mnie z pewnością z powodu takiego głupstwa. To nielitościwie! I na co mój bilet! Głupiec jakiś!

Podtiagin zastanawia się, czy się ma czuć obrażonym, czy też nie — postanawia wreszcie to ostatnie.

— Proszę mi tu nie wrzeszczeć, tu nie jest szynk! — woła.

— Ale w szynku są ludzie litościwsi, niż tutaj... — mówi pasażer, kaszląc. — Teraz muszę się starać zasnąć na nowo. To szczególne. Jeździłem wszędzie za granicą, a nigdzie nie przeżyłem tego co tutaj. Jakby sam czort wjechał w tych ludzi, pytają mnie ciągle o bilety!

— Jedźcie sobie za granicę, jeżeli wam się tam lepiej podoba!

— Głupio tutaj jest, kochanku! Nie dość, że mordują pasażerów dymem węglowym, przeciągami i podobnemi rozkoszami, dręcą jeszcze człowieka swemi przekłętami formalnościami! Niech was czort porwie! Biletu mu się nagle zachciało! Skądże nagle taki zapal w służbie, powiedzcie mi to! Dla kontroli byłoby to bardzo dobrem, ale tutaj połowa pasażerów jeździ bez biletów!

— Posłuchajcie, panie — odpowiada Podtiagin. — Jeżeli nie przestaniecie wrzeszczeć i przeszkadzać publiczności, będę zmuszony zatrzymać was na najbliższej stacyi, gdzie spisujemy protokół.

— To już bezczelność — protestuje publiczność. — Choremu nie dać spokoju... Miejcież litość...

— Ten pan sam przecież rozpoczął kłótnię — grzmi Podtiagin.

— Ależ on chory, a wyście go zbudzili.

— Dobrze, nie żądam już waszego biletu... jak chcecie... Wiecie sami, że wymaga tego odemnie służba... Gdyby nie służba, nie żądałbym waszego biletu... Możecie się zapytać naczelnika stacyi... Pytajcie się, kogo chcecie.

Podtiagin wczuszył ramionami i wyszedł z wagonu. Z początku czuł się trochę obrażonym, gdy jednakowoż przeszedł kilka wagonów, uczuł w swej piersi oberkonduktorskiej jakiś niepokój, wpływający z wyrzutów sumienia.

— Naprawdę, nie potrzeba było budzić chorego — myślał. — W każdym razie ja to robiłem dla zabicia czasu, a nie chcę wierzyć, że tego wymaga moja służba... Jeżeli nie wierzą, niech sprowadzą naczelnika stacyi.

Najbliższa stacya, pociąg stoi pięć minut, przed trzecim dzwonkiem wchodzi do wiadomego wagonu. Podtiagin, a za nim naczelnik w czerwonej czapce...

— Ten pan tutaj — zaczyna Podtiagin — twierdzi, iż nie mam prawa żądania od niego biletu... i czuje się jeszcze obrażonym. Proszę pana naczelnika wyjaśnić temu panu, czy mam prawo, będąc w służbie, kontrolowania biletów, czy nie.

— Panie — zwraca się do chudego pasażera Podtiagin — możecie się teraz spytać naczelnika, jeżeli mi nie wierzycie.

Chory zrywa się, jakby go osa ukąsiła, otwiera oczy i z rozpacziwą miną rzuca się na kanapkę.

— Boże! Wziąłem teraz drugi proszek morfiny i zaledwie zasnąłem, budzą mnie znowu. Błagam was, miejcie litość nademną!

— Możecie mówić z naczelnikiem stacyi. Pytajcie się, czy mam prawo żądania biletu, czy nie.

— Ależ to nie do zniesienia! Macie ten bilet! Na! Kupię jeszcze pięć biletów, tylko pozwólcie mi spokojnie umierać. Niemilosierny naród!

— Ależ to poprostu kpiny! — protestuje jakiś starszy oficer. — Bezczelność! Nie pojmuję wogóle, co mają oznaczać te wszystkie napaści.

— Zostawcie to — powiada naczelnik stacyi i pociąga z sobą za rękaw Podtiagina.

Ten wzruszył ramionami i z naczelnikiem stacyi wyszedł powoli z wagonu.

— I zróbże im tu dobrze — myślał. — Sprowadziłem mu naczelnika stacyi, aby go się zapytał, aby się uspokoił, a on się jeszcze gniewa.

Znowu stacya. Pociąg stoi dziesięć minut. Podtiagin stanął przy bufecie i kazał sobie dać szklankę wody sodowej. W tem przystępuje do niego dwóch panów: jeden w uniformie inżyniera, drugi w mundurze podpułkownika.

— Słuchajcie, panie oberkonduktorze — zwraca się inżynier do Podtiagina. — Wasze postępowanie wobec tego chorego pasażera obrzyliło wszystkich. Jestem inżynier Parikow, a to... podpułkownik Trawskij. Jeżeli nie poprosicie tego pasażera o przebaczenie, doniesiemy na pana do naczelnika dystansu, naszego przyjaciela, a ten...

— Ależ panowie... ja... to jest... właściwie... — jęknął Podtiagin.

— Nie żądamy żadnych wyjaśnień. Powiadamy wam tylko, że jeżeli tego pasażera nie poprosicie o przebaczenie, my się tem zajmujemy...

— Ależ bardzo dobrze... proszę bardzo...

Po upływie pół godziny Podtiagin przygotowawszy sobie odpowiedni frazes z usprawiedliwieniem, który powinien był wystarczyć dla pasażera i nie naruszać jego własnego honoru, poszedł do wagonu chorego.

— Panie — rzekł do niego — posłuchajcie mnie...

Chory się zerwał.

— Co?

— Ja... właściwie... wybaczcie...

— Ach... wody! — jęczał chory i chwycił się ręką za serce. — Wziąłem trzeci proszek morfiny, zasnąłem i znowu... o Boże! Kiedyż się nareszcie skończy z tem udęczeniem?...

— Ja... właściwie... przebaczcie...

— Słuchajcie... Każcie mnie na następnej stacyi przenieść do innego pociągu. Nie jestem w stanie znieść tego dłużej... Oh!... umrę, umrę z tym narodem!

— Ależ to niesłychana rzecz! — wrzeszczy oburzona publiczność. — Wynoście się stąd natychmiast! Odpowiedcie za takie zachowanie się! Naprzód! Pijanica!

Podtiagin macha ręką przecząco, wzdycha i wychodzi z wagonu. Idzie do swego służbowego przedziału, siada przy stole i jęczy:

— Och, ci pasażerowie! I rób im tu dobrze i dogódź im! Mimowoli człek się wyrzeka wszystkiego i siada do wódki... nie robi się nic... gniewają się... robi się... robi się coś, także się gniewają... Trzeba się znowu napić stakańczyk...

Podtiagin wypija od razu pół butelki wódki i nie myśli już ani o pracy, ani o obowiązku, ani o uczciwości...

Humorystyka.

W sądzie.

Sędzia: Icek Nędza jesteście oskarżeni przez Glanzwurstą żeście od niego pożyczyli garnek i stłukli, co macie do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie.

Icek: Po 1-sze ja wcale Glanzwurstą nie znam, po 2-gie ja żaden garnek nie pożyczałem, po 3-cie ten garnek już dawno był stłuczony, a po 4 te, ja ten garnek już oddałem — na to wszystko ja mogę przysięgnąć.

* * *

Przy piwie.

Młody chłopak odzywa się z lekceważeniem do starego jegomościa, który siedzi obok przy stole.

— Pan już pewnie z pięćdziesiąt lat żłopie to piwsko, powiedz mi też pan, czemuż to trunki starym włożą w nogi, a młodym do głowy?

— To bardzo proste: u każdego wynajdują sobie słabe miejsce.

* * *

„Ładna“ rodzina.

Żona: Ja muszę jechać do kąpieli, sknero obrzydliwy.

Mąż: Ja ci powiadam, że nigdzie nie pojedziesz szkaradne marnotrawnico.

Synek: A tom się dostał w ładną rodzinę.